



Rok II.

1866.

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”

rocznie	8 zlr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ — „
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Nr. 12.
22 Marca.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr. 50 ct
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.



Zamek krakowskich biskupów w Kielcach.

Jedno z najschłodniejszych miast w królestwie Polskiem są Kielce, które z dawien dawna należały do dóbr biskupów krakowskich. Przesiadawali oni w tym zamku i mieli dwór nader wspaniały. Jeszcze 1142 r. Radost, czternasty z porządku biskup diecezji krakowskiej, mieszkał w pałacu Kieleckim. Po nim przebywali

tamże, Paweł z Przemankowa, bawiąc się polowaniem i hucznem biesiadami, Bodzenta Jankowski, Jan Konarski, Piotr Tomicki, najznakomitszy ówczesny dyplomata, Piotr Gamrat, Piotr Myszkowski, Marcin Szyszkowski i Jakób Zadzik, kanclerz koronny, który dawny zamek przebudował r. 1640, na ten, jakim go rycina przedstawia.

W przeszłym wieku bawili tam kardynał Jan Lipski i znany z prześladowania przez Moskwę Kajetan Sołtyk, który smutnie dnie

swoje tam spędzał aż do śmierci, która 20 lipca 1788 r. nastąpiła. Ostatnim biskupem krakowskim, co zamek ten zamieszkiwał, był Wojciech Górski, zmarły 1816 r. — Po zagrabieniu dóbr biskupich przez Moskwę, przeznaczono pałac na mieszkanie dla prezesów województwa krakowskiego — później gubernatorów kieleckiej gubernji. Obecnie znów, znajdują się w nowo zrestaurowanym zamku władze sądowe.

Budowa tego zamku wspaniała, w zupełnie oryginalnym stylu, obejmuje kwadratową przestrzeń, a po rogach wznoszą się cztery ośmiokątne baszty. Pierwsze piętro wspiera się na trzech sklepionych arkadach; sień zaś poprzedzona jest kolumnadą, pod którą nade drzwiami wchodowymi znajdują się herby Polski i kapituły krakowskiej.

Mury łączące główną ścianę zamku z basztami, przyozdobione są czterema kamiennymi posągami — po dwa z każdej strony, przedzielone piramidami. Posągi te wyobrażają parlamentarzystów szwedzkich i moskiewskich, z którymi założyciel zamku zaszczytne dla Rzeczypospolitej traktaty zawierał.

Wnętrze zamku mieści obszerne sale, przyozdobione malowidłami.

Pierwsza z nich otoczona jest samymi portretami biskupów krakowskich, poczynając od najpierwszego aż do królewicza Alberta r. 1634. Sala ta prowadzi na prawo i na lewo do dwóch innych ozdobniejszych, w których sufity są płótnem obite i olejno malowane. Jedno z tych malowideł przedstawia scenę zaszłą na sejmie, kiedy biskup Zadzik przed królem Władysławem oskarżył Arianów o znieważenie figury Chrystusa w Rakowie.

W drugiej sali, malowidło na suficie jest więcej zaciemnione i trudne do rozpoznania przedmiotu.

W obu rysunek jest dobry i kompozycja niepospolita. Wedle podania mają te obrazy być pędzla nadwornego malarza, Dotabolli, który był przy królach Zygmuncie, Władysławie IV. i Janie Kazimierzu. Oprócz sal głównych jest jeszcze kilka pomniejszych pokoi, a w basztach małe gabinety.

Przybudowane są do tego zamku nowe części: lokal na trybunał, szkołę górniczą, bióra sądu kryminalnego i t. p. Pomimo tych przerabian, zastosowanych do przeznaczeń budowy, gmach pierwotną zachował postać i należy do ciekawych zabytków 17. stulecia.

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

(Ciąg dalszy.)

Posadzono mnie, jak wiecie, tyłem do koni, powieszono tablicę na piersiach i powieszono przez ulicę. Narodu było wiele, cały tuman kurzawy unosił się nad tą procesją, bo było to wśród lata; kosarze szli wtedy, i słońce paliło, zda się z czystych niebios. Ja siedziałem tak wysoko, iż mogłem widzieć daleko ponad głowy tego tłumu, z którego każdy na mnie patrzył. Już mnie jakoś strach był ominął i niby zapomniałem o pletniach na widok tylu ludzi, umyślnie tu dla mnie zebranych.

Po godzinnej prawie jeździe stanęli i kazali mi wstąpić na szafot, gdzie mnie już czekał kat z zakaszanymi rękami czerwonej swej koszuli. Na pomoście szafotu u stóp kobyły leżała pletnia; jak węże, bestji, trzy końce jej były zwinięte. Strasznie mnie jakoś się zrobiło, gdym ją po raz pierwszy zobaczył; zdawało się, jak gdyby mi kto wszystką krew ze serca do głowy napędził. Kat wyjął tymczasem z pod kobyły opieczętowaną butelkę, odbił szyjkę, napił się do mnie, dał i mnie raz łyknąć i wziął się do rozbierania. Umyślnie wdziałem starą koszulę, bo wiedziałem, że rozbierając, psi syn wszystko na mnie poszarpie. Mimo że mnóstwo narodu było na rynku, taka cisza panowała, jakby mak posiał — słychać nawet było każde

skrzypnięcie łąki, kiedym się na nią położył i kiedy mnie do niej kat przywiązywał. Ukończywszy ze mną, on podjął pletnię i odszedł raz do koła kobyły...

— Strzeż się! krzyknął, oparzę! — wtrącił jeden z więźniów.

— Tak, strzeż się, krzyknął, bo oparzę!... i oparzył psi syn!

Tu opowiadający wstrzymał się trochę i powiódł ręką po czole, na którym rzeczywiście krople potu się perliły. Było coś poetycznego we wzroku jego i coś na twarzy, co wzbudzało sympatję. Mniemałbyś, iż on w natchnieniu! Wszyscy słuchali nie gubiąc i słowa z jego opowiadania, o którym wiedzieli, iż było czystą prawdą. Każdy z nich przeżył tożsamo, opowiadanie jego było więc niby echem własnych ich wspomnień. A tych, jak wiemy, słucha się chętnie...

— U stóp szafotu stało naczalstwo — ciągnął dalej opowiadający — z początku kat niby folgował, lecz striapczy pogroził mu, iż go każe po egzekucji wysiec różgami, jeżeli nie będzie bił jak się należy. Poczulem skutek tej groźby na skórze. Pierwsze uderzenia jeszcze mogłem odliczyć, czulem jak mi skóra po każdym pękała, i jak się krew sączyła — lecz im dalej kat bił, tem ciemniej stawało mi się w oczach. I żeby to jeszcze bił prędko, to człowiek by nie miał czasu czuć tak każdego uderzenia, wszystkoby się niby naraz zważyło — ale szelma uderzy raz, potem przejdzie na drugą stronę kobyły, albo przechodzi się na pomoście — i po chwili dopiero zakrzyknie na nowo: strzeż się, oparzę! Przy piątym coś uderzeniu, już mnie zmysły opuściły i nie czulem dalszych razów, a zdawało mi się, jakby kto żarzących węgli na ciało mi nasypał. Byłem cały jak w ogniu, a mimo to drżałem jak w febrze. Nie wiem kiedy skończył bić i nie pamiętam jak mnie zdjęto z kobyły. Ocuć się dopiero w szpitalu, gdzie sześć miesięcy przeleżałem, nim rany zagojono, lecz z tylnej części ciała tylko kości zostały.

Tu opowiadacz podniósł koszulę, odwrócił się trochę i rzeczywiście z pod odzienia aksamitnego kości tylko wystawały; pełnej zazwyczaj na tych miejscach formy jakby od urodzenia nie było.

— Oto cię poczęstowali! — zawołał ktoś z grona.

— A pieniędzy wiele ci naskładał naród pod szafotem — zapytał drugi!

— Do 50 rubli... bo naród płakał cały, kiedy mnie bito — mówił z dumą niejaką modniś — a musicie wiedzieć, że kiedyś ze mnie był walny mołojec! Dziewczęta szalały za mną... Oni więc musieli narzucać, ale kat dał mi tylko potem 50 rubli.

— No to przynajmniej się opłaciło! — zauważył jakiś z grona. Jak chcecie — odzywa się po chwilowem milczeniu inny więzień — a jednak człowiek wiele wycierpieć może. Gdyby tak bydlę bito, jak każdego tu z nas, dawnoby już zdechło, a my... jeszcze żyjemy!

— Ech popamięta mnie kat jeden, póki żyć będzie! — woła trzeci.

— Jak? — pytają go.

— Siedziałem, będzie lat temu ze siedm, w Ossie. Nędzne to miasteczko permskiej gubernji, bogdaj się zapadło. Choćby człowiek był mógł robić i fałszywe pieniądze i wódkę targować, albo majdan utrzymywać, ta niczego dostać niepodobna było — ani farb, ani papieru, ani kart nawet, bo naczelnictwo nad więzieniem się mieściło i zawsze ktoś ze starszych siedział nam tuż pod nosem. Kopiejki więc z boku nie wydobyłeś, żebyś był pękł, a i z jałmużny tożsamo ci nic nie przyszło, bo tam jakoś nie dawali mieszczanie, siedzieliśmy zatem na skarbowem tylko. A był tam także jeden z katorżników, któremu wyszło coś 45 i nie miał co dać biedak katowi. Choć szelma kat pobierał od nas wszystkich tygodniowo cząstkę ze skarbowej prowizji, jak to zwykle bywa, przecież tego, co mu nie dał osobno, psi syn bił mocno. Otóż złożyliśmy się wszyscy na tego biedaka i zebrało się tylko coś dwa ruble, których kat nie przyjął. Musiał więc iść tak na los szczęścia. Kiedy go powieszono, ja wybiegłem do drewnutni, z kądem małe okienko wychodziło na ulicę i czekałem, póki wracać nie będą z rynku. Dowiedziałem się, iż bardzo silnie go obił, tak że na wpół umarłego zaniesiono go do szpitalu.

Poczekaj łotrze, pomyślałem sobie, nie będziesz ty bił więcej! Patrzę i widzę, że i on wraca po pod mur więzienny do domu; pozwalam go więc do siebie i pytam:

— A co, ojczu, dobrzeście osmalili tego łotra?

— Popamięta! — odparł ponuro.

— Dziękuję wam, ojczuniu! mówię mu na to — on był wart tego! a za fatygę oto macie tu na wódkę. I podaję mu niby rubla przez okienko; on sięgnął po niego. Tu złapałem go za rękę, przyciągnąłem do siebie i mimo krzyku tak długo nią kręciłem, póki nie wykreśliłem zupełnie. Przytem zębami odgryzłem mu dwa palce. Zjechało naczelnictwo, szukali, pisali, pytali — ale kat nie mógł mnie poznać, ta i rzecz przepadła. Biedak ów wprawdzie na piąty dzień skonał, ale my dostali innego kata!

— Któryto był? — zapytał [ktoś z koła — czy nie Misza, czarny taki, wysoki!

— Ten sam!

— Oj, i ja go pamiętam!...

W najciemniejszym kącie jednej z tych komnat, przypadkowo mało napełnionej więźniami, co porozchodzili się kędy ich gra lub gawędy wiodły, leżało dwóch starców, nie mieszających się wcale do ogólnej wrzawy. W milczeniu patrzyli oni w pułap, wyciągnawszy nogi przed siebie, i nie okazywali widocznie najmniejszej chęci do rozmowy. Bóg wie jak długoby byli leżeli tak milcząc, gdyby trzpiotowaty jakiś junak, przechodząc z gromką pieśnią na ustach przez tę izbę, nie był nastąpił na owiniętą szmatami nogę jednego z nich i nie zmusił go przez to do zerwania się z pościeli i do rzucenia przekleństwa, co za nierobiącym sobie nic ze swej nieuwagi trzpiotem w ślad poleciało.

— A żeby was tam wszystkich raz wyrwało, przebacz Panie grzechy! — mówił płaczącym głosem starzec, rozwijając ze szmat nadeptaną nogę i dmuchając na zrażone miejsce. Nie dość, że głowa mało nie pęknie od szumu ich, jeszcze psiawiary, przebacz Boże grzechy, i poleżeć spokojnie słabemu nie dadzą... Tfu, tfu! na was, czorty! przebacz Boże grzechy!

Noga starca obnażona teraz do kolan ze szmat, przedstawiała rzeczywiście okropny widok. Od palców aż do kolan spuchnięta była dosłownie jak konew. Po całej powierzchni puchliny były blizny, znacznymi żółtawo brudnymi plamami odznaczone, a z boku na ikrze wielka rana z mięsisto krwawymi brzegami brudno zieloną materją zupełnie zaciągnięta, jeszcze bardziej cikliwym i odrażającym czyniła i tak dość nieprzyjemny widok.

Wzdychając i utyskując zaczął starzec obcierać we czworo złożoną szmatką zaognioną od urażenia ranę i przeklinał co chwila, powstarczając przy każdym przekleństwie: przebacz Boże grzechy.

Połączenie takiego przekleństwa z modlitwą można bardzo często usłyszeć w Rossji, od kobiet osobiwie i od podobnych im w bigoterji starców. Według ich wyobrażeń modlitwa maże natychmiast grzech przekleństwem popełniony. I w ogóle grzech i modlitwa ustnia są u Rosjan] pojęte podobnie jak w matematyce ilości dodatne i ujemne: Równe przeciwne znoszą się, z dwóch nierównych przeciwnych zostaje reszta, przed którą się kładzie znak większej.

— A co to wam, ojczu, w nogę? — zapytał bezdźwięcznym, jakby grobowym, a przytem tak ciekim, jakby od dziecka pochodzącym głosem, drugi obok leżący starzec, którego twarz i postać cała takiego były rodzaju, że niemożem ich tu milczeniem pominąć. Rzadkie, długie, jak len cienkie włosy, ni to płowej, ni to siwej barwy okrywały w pojedynczych kosmykach tylną część głowy, podczas gdy na całej przedniej wielka jaśniała łysina. Na twarzy, literalnie trupiej bledości, na miejscach u mężczyzn zwykle obrośniętych, ni jednego nie dostrzegłeś włoska. Skóra na niej była porozpadana podobnie, jak gdy ziemia porozpada się od mrozu, i nie były to zmarszczki zwykle u starców, ale coś podobnego do szczelin na belkach lub deskach, to płytsze, to głębsze, to dłuższe, to krótsze, w różnych kierunkach po twarzy porozrzucane. Oczy małe, głęboko zapadłe i bez najmniejszego wyrazu ni życia leniwie się obra-

cające, wyglądały, że użyjem tego porównania, jak latarnia z kopconą z gasnącym we środku kinkietem olejnym. Trup wydobyty po tygodniu z grobu gorzejby pewnie nie wyglądał.

Obeznaną z typami więziennymi człowiek domyślałby się zaraz w starcu owym członka rozszerzonej po północno wschodniej części Rossji sekty skopców.

O historycznym początku i rozwoju tej sekty bliższych szczegółów powiedzieć nie umiemy, gdyż nie było sposobności zaglądać w książki o czemś podobnem traktujące, — a zwolennicy jej, z którymi spotykać się przychodziło, objaśnić nas w tym względzie nie byli w stanie, z tej prostej przyczyny, że i sami nic o tem nie wiedzieli. I dziwić się temu wcale nie wypada. Zwolennikami tej sekty są po największej części ludzie niższych warstw społeczeństwa rosyjskiego, którym, jak to już wiemy, nie o rzecz lecz o formę chodzi. Nie natrafisz więc między nimi rychło na takiego, coby się tam aż w badania historyczno-krytyczne nad powstaniem i rozwojem tych zasad, w które wierzy, miał i mógł zapuszczać.

Powiemy tylko tyle, że główną siedzibą tej sekty, jak i po największej części wszystkich innych, są gubernje zawołżańskie, a z tych najgłówniej permska. Oddalone od nadzoru władzy centralnej miejsca te zawsze przedstawiały i dotąd jeszcze przedstawiają obszernie pole do swawoli tak rządzącym jak i rządonym. Niezmierne lasy Solikamskiego i innych powiatów północnych permskiej, jako też odległe stopy samarskiej i saratowskiej gubernji znane są od dawna jako przytułek dla prześladowanych od rządu starowierców, bezpopowców, zwolenników powieria, mołakanów, skopców itd. i przedstawiały niegdyś niewyczerpane źródła dochodów nieprawnych dla powiatowych isprawników, zasiedateli, strzapeczych itp. (D.c.n.)

RENEGAT

(powieść tegoczesna)

napisał

ADOLF NAŁĘCZ.

II. Miatieżniki.

(Dalszy ciąg.)

— Aha! to mój paniczyk, co się wymknął kozakom, prosimy do nas!

— Pozwólcie, że się do was przysiędę — odpowiedział nieśmiało Władek.

— Panowie oficerowie radzą, niechciałbym im przeszkadzać.

— Radzą — odezwał się drugi żołnierz.

— Lepiejby było, aby mniej radzili, a za to więcej działali.

— Ty, Tomku, zawsze rezonujesz, widać żeś był kościelnym i zaczępiłeś o naukę żołnierzowi nieprzydatną — odparł mu stary wąż, imieniem Brodek.

— Ja nie rezonuję — i wiecie dobrze że słucham rozkazu, — ale mi jakoś nie miło patrzeć się na tę starszyznę!!

— A cóż to? — może ona nie waleczna, nie śmiała?

— Aż zanadto śmiała — odpowiedział zadąsany Tomek.

— Cóż chcesz więcej?

— Ja chciałbym, aby więcej serca dla nas mieli nasi panowie, — a potem mówią, że to za wolność się bijemy — kiedy ja jakoś nie ogłaszają i chłopu jak pierwej, tak i teraz tylko za zwierzę do roboty uważają; przecież wartoby lud podochocić, a potem sami na Moskali pójdzim.

— Niechno pozbedziemy się Moskali, to pewnie nasi panowie ogłoszą wolność — zarzucił mu stary wiarus Brodek, odwracając się do Władka — nieprawda, paniczu?

— Ja się na tych rzeczach nie rozumię, ale zdaje mi się, że Tomko ma słusność.

— A widzicie, panie Brodek, że i między państwem są tacy. co tę rzecz tak biorą — chociaż ten paniczyk jest młody — a wszyscy za młodości mają takie uczucia, ale jak się już postarzejają, — to nie chcą o niczem wiedzieć.

— Ty kościelny! — wara! bo i ja już nie młody, — a przecież wiesz dobrze, że mam serce na miejscu.

— Ba! panie Tomasz! wy co innego, wasze serce zawsze na jednym miejscu stało — przy kraju; — ale u panicza to inaczej, to raz do sasa, to znów do lasa.

— Tomko, choć kościelny — to przecież ma tu słusność; — odezwał się, mieszając się do rozmowy trzeci żołnierz, siedzący obok starego Brodka. — Bo to widzicie, raz panowie prawią bić Moskali a będzie wolność, drugi raz każą siedzieć cicho i mówią, że tym sposobem będzie lepiej — a jak wolności nie masz tak i nie masz, — czy bić, czy tych Moskali słuchać — zawsze niewola i to gorzka, od swoich własnych panów trzeba ją znosić.

— Ho ho! co to znaczy to rezonowanie, cicho i basta, — słuchać i punktum, nam nic do tego, co panowie robią — oni nasi starsi — tak ja rzecz rozumiem!! — a kto inaczej niech go... zawołał stary Brodek — podkreślając wazę. „Żołnierz nie adwokat“ — dodał stary wiarus łagodniejszym głosem.

— Ta my słuchamy, ale...

— Niemasz ale, koniec na tem, i basta — zakonkludował Brodek, któren jak orakel uważany był u młodych kolegów.

Rozmowa tym sposobem ucichła, gdy nikt nie chciał się narażać na nieukontentowanie starego wiarusa.

Pierwszy brzask wschodzącego słońca zaczął przygaszać światło rozłożonych ognisk, dymy coraz widoczniej występowały, na jaśniejszym kolorującym się tle otaczającej natury.

Szmer obozujących przerywały pieśni, gwizdanie i furkanie ptactwa, które opuszczając swe gniazda i noclegi, radośnie witało ranne promienie słońca. Liście drzew, oblane nocną rosą, iskrzyły się, zmieniając kolory i zdawały się, jakby obsypane były rozlicznymi krzysztalami, a poruszane drganiem gałęzi, migwały, przepuszczając światło, tężowemi kolorami.

Pod naciskiem ogrzania wschodzącego słońca, lekki wiatr poruszał powietrzem, otrzeźwiając zaspanych ze snu chwilowego. Konie rżały, upominając się u swych jeźdźców doglądania rannego, psy zaś, towarzysze nieodstępne każdego obozu, kręciły się między ogniskami przygasłymi, szukając za żywnością, hareując i staczając zajądło boje o pozostałe kości, lub okruchy sucharów.

Coraz głośniejsza wrzawa ożywiła cały obóz.

Nawoływanie oficerów, klęcia podoficerów, rżenie koni, psów szczekanie, śmiechy żołnierzy, i śpiewy na różne tony i melodje — rozbiły się chaotycznie w powietrzu, nie przeszkadzając przytem swobodnemu pełnieniu obowiązków nakazanych tą chwilą ranną w każdym obozie.

Zagrzmiały trąbki, podając hasło od szwadronu do szwadronu.

— Na koń! odpowiedzieli temu sygnałowi oficerowie, dosiadając pierwsi podanych im wierzchowców.

— Na koń! powtórzyli ciszej, dodając zwyczajne przekleństwo, podoficerowie.

— Na koń! na koń! wtórowali słabym głosem żołnierze...

Na koń! na koń! — na koń! — odbiło się echem o otaczające lasy — i cisza zapanowała do koła...

III. Bitwa.

Długą kolumną przesunął się pułk przez pola, łąki i gaje porzucane na piaszczystym gruncie, któren żółtawym kolorem odbijał się przy urwiskach dróg i uboczach potoków i parowów, oddając wyraziste konfiguracje całej okolicy i wskazując zdala snujące się drogi i drożyny polowe, z których wiatrem podniesione kłęby piasku sterczały od czasu do czasu jakby drogowskazy chwiejące się, rozpadając nagle w mgłę kurzawy.

Pojedynczy jeźdźcy buszowali w oddaleniu po bokach postępującej kolumny, zasłaniając ją czujnością od niespodzianego napadu, lub też zacierając w gestwiny krzaków i zakręty dolin, śledzili nieprzyjaciela, którego bliskość czuli instynktem.

Chociaż starszyzna nie zdradzała niczem obawy lub niespodzianki i w obojętnej głośnie rozmowie rozprawiała gwarnie, przecież starsi żołnierze domyślali się po różnych symptomach blizkiej walki.

— Będzie bitwa — odezwał się półgębkiem, nasz stary wiarus, do obok niego jadącego Władka.

— A zkąd to wnioskujecie, przecież nie widać Moskali? — odparł Władek.

— Kapitan nasz, pendent poprawia! — odpowiedział z naciskiem Brodek; tak paniczyku! jak nasz kapitan pendent od szabli poprawia, to kozacy — a jak opatruje pistolet, to pewnie dragoni.

— A jakże kapitan może to naprzód wiedzieć — zapytał rozciekawiony Władek.

— Wiedzieć?! paniczyku! — rzecz dziwna! i trudne pytanie — na które odpowiedzieć nie umiem, — ale tak jest i nie inaczej. — „Żołnierz nie rezonuje“ — dodał głośnie stary wiarus, aby się wydobyć z ambarasu, nie wiedząc co odpowiedzieć Władkowi.

— Hm! porucznik Stokowski pokazuje pułkownikowi coś palcem — zauważał Tomasz ekskościelny — pewnie coś zobaczył ciekawego! — nieprawda panie Brodek!?

— Stokowski pokazywał palcem?! masz babo reduty — to pewnie moskiewską piechotę zobaczył — gdyż jak porucznik Stokowski pokazuje coś palcem, to niezawodnie...

— Pierwszy szwadron! klusem, marsz!! komenda wygłoszona nagle, przerwała rozmowę cichą wiarusów, odgadujących poruszenia oficerów.

— A widzisz, Tomasz, że zgadłem! zauważał zadowolony Brodek.

— Ba! jeszcze niewiedzieć, czy kozacy, czy dragoni? — odparł mu niewiernie Tomasz.

— Sza! będzie wszystko!! bądź spokojny, ty niedowiarku — cała reduta.

Szwadron pierwszy odbiegł klusem od pułku na kilkaset kroków, i dotarłszy do równiny, dominującej nad znaczną częścią okolicy, rozwinął się frontem — ku dolinie, na której się wioska rozpościerała.

Reszta szwadronów postępowała stępem, nie odebrawszy żadnych rozkazów.

— Stój! — Pułk stanął — cisza zapanowała dookoła.

W oddaleniu błysnęło naraz, biały dym potoczył się po ziemi a potem huk rozległ się echem po całej okolicy. Syczący gwizd usłyszano w powietrzu, a w skokach płaskich wyrwijając ziemię piaszczystą, potoczyła się kula w bliskości pułku i ugrzęzła opodal drożyny.

— Za broń!! — Do frontu! formuj się!!

— Pułk rozwinął się frontem.

Zaczęła się kanonada — preludjum każdej bitwy — moment niepewności, wyczekiwania, który wyklucza obawę, ale natarczywie żąda rozwiązania i czynności — napawając młodego żołnierza bojażnią naturalną, a starszemu sprawia znudzenie...

Władek pierwszy raz w życiu był świadkiem sceny podobnej, która, mimo wrodzonej mu odwagi i nierozważnej obojętności dziecięcej co do niebezpieczeństwa, rozdrażniała mu całą duszę i ścisła serce mocnym krwi krążeniem. W jego oczach przesunęła się zasłona czerwona, gdy obok niego uderzająca kula powaliła konia i jeźdźca na nim siedzącego, którego roztrzaskane ciało obryzgało ciepłą jeszcze krwią twarz jego, — Władek był bliski omdlenia; nagle marsz! marsz! obudziło go z chwilowego otrętwienia, porwany, cwałem pędził wraz z innymi — kurz zaciemnił mu widok — szczełk broni i wrzawa do koła zagłuszyła mu uszy. Był moment, w którym Władek nie wiedział co się z nim stało.

Sygnaly trębaczów i nawoływanie oficerów „formuj się!“ przebudziły go z otrętwienia umysłowego.

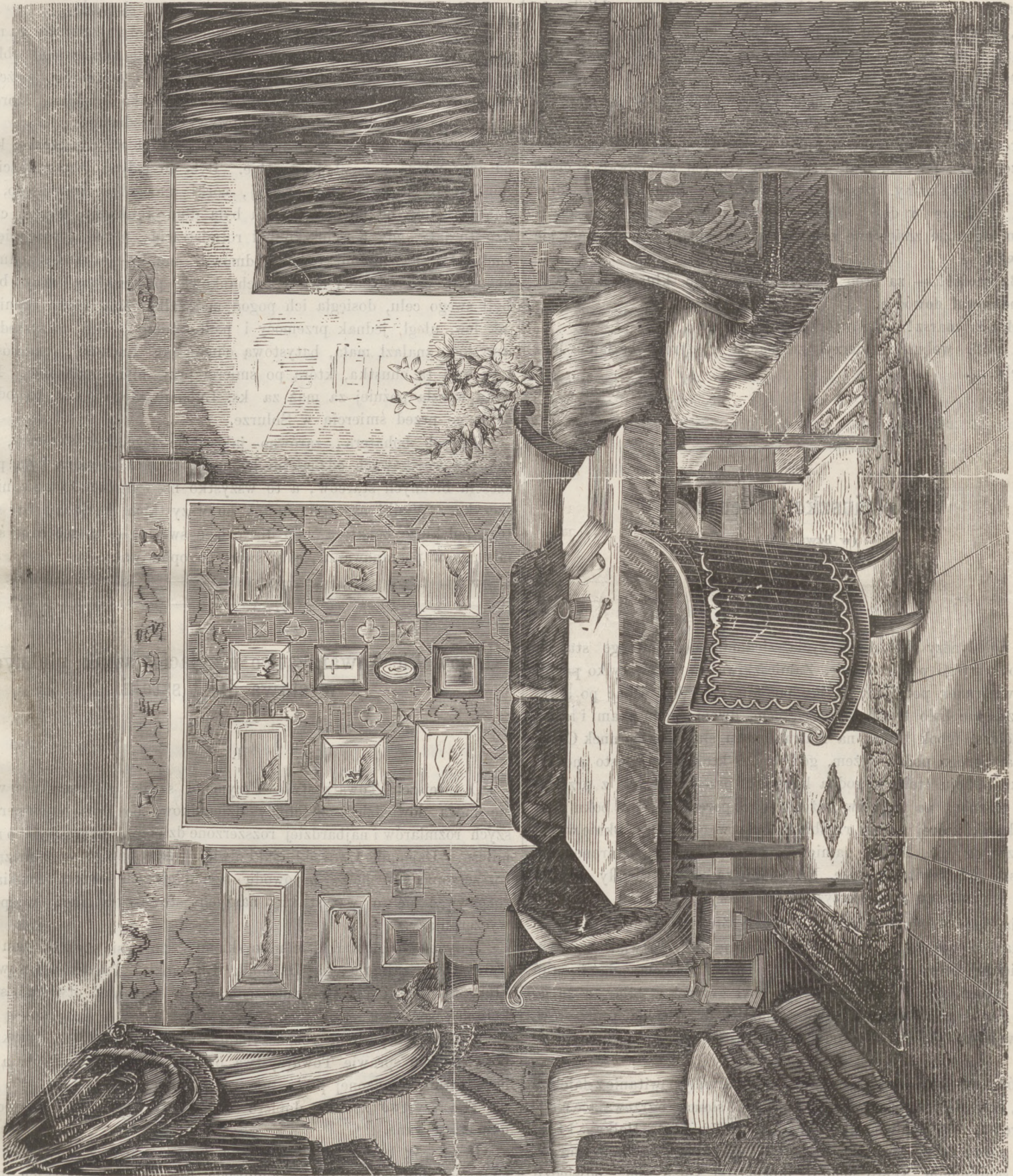
Gdy oczy jego odzyskały na nowo władzę widzenia — postrzegł, że wieś, która pierwiej leżała przed frontem pułku, — znikła z widokregu, i ten lasek obok zmienił swoje postać, rozszerzony w bór

rozległy, a zamiast piasku który deptali pierwsi konie, ujrzał zieloną murawę, rozłączoną strumieniem wesolym, którego wijąc się po płaszczyźnie, ginał w oddaleniu w lesie cienistym.

— Dobrze, wiara!! — jeszcze raz tak, a spoczniemy potem! — zawołał pułkownik, objeżdżając front swego pułku.

Władek na te słowa uczuł dopiero ból szczypiący na twarzy i przypomniał sobie jakby we śnie, że widział hełm błyszczący i palasz krążący obok jego głowy, ale kiedy to było, przypomnieć sobie nie mógł.

Rana na twarzy była jednak niewątpliwym dowodem, że



Pokój Tadeusza Kościuszki w Solurze.

— Co te słowa znaczą? — zapytał się Władek swego sąsiada.

— Co znaczą? — A dziwne pytanie; a nasz atak na dragonów? to nie? — paniczyku!!

— Jaki atak?! — Gdzie dragoni?!

— Dragoni?! ich djabli wzięli — ale jak widzę, paniczowi zostawili pamiątkę na twarzy!

atak miał miejsce — że on był w nim czynnym, chociaż wiedzę o tym wypadku zupełnie stracił.

— Władku?! a jak tam idzie czyli poszło?! — zapytał go się pułkownik, lustrując szeregi.

Władek zarumienił się mocno. Za niego odpowiedział stojący obok podoficer.

— Chwacko, pułkowniku! jak stary wiarus!!

— No! no! to ładnie!! nic to straszego.

Pułk się sformował i oczekiwał rozkazów.

W bliskości słychać było nieustający huk dział, a w niedalekim lesie palba ręcznej broni zbliżała się coraz więcej, płosząc przed sobą leśne ptactwo, które ulatywało przestraszone w pola.

Od czasu do czasu lekliwy zając umykał, kryjąc się w trawniku nadbrzeżnym, zanim pędził jak strzała lis, szukając schronienia w krzakach nad rzeką. Wrony krakając w powietrzu zbijały się w stada, czując instynktem żer pobojowiska.

Naraz ustała palba, tylko pojedyncze strzały wskazywały kierunek toczącego się w leśnej pozycji boju.

Hura! hura! rozległo się echem w lesie, potem krzyk, wrzawa, jęk i pojedyncze strzały... a potem cisza.

Na równinie przed frontem pułku, okazali się pojedynczo uciekający żołnierze, po nich małe grupy, po których ustępowały w gęste szeregi zbite kolumny, pospiesznym krokiem dążąc na sąsiednie wzgórze. Pędzące w dali, ujrzeć można było armaty i jaszczyki w dzikim nieładzie zmieszane z jazdą, która wplaw przeprowiała się przez rzekę.

— Bacność!! — za broń!! — do ataku broń, kłusem marsz!... Zakomenderował dowódca.

— Marsz! marsz! — powtórzył głośniejsze.

Cały pułk wołyński uderzył z nienacka w szeregi bezładnie nieprzyjaciela....

(D. c. n.)

Kościuszko Tadeusz

(w Szwajcarii.)

(Dokończenie.)

Jak pojedynczy był tryb życia siedmdziesięcioletniego starca, takiem było i jego pomieszkanie. Zamieszkiwał on jeden tylko pokój, którego wizerunek podajemy; łóżko pod kotarą, jakie widać po lewej stronie, zasłane było twardym materacem, dwoma poduszkami i lekką okrytą kołdrą. Obok łóżka, na marmurowym słupie, wizerunek Chrystusa upadającego pod krzyżem, godło, pod którym się często modlił. Na środku pokoju stała wygodna kanapa, przed nią stół z przyborami do pisania, na przeciw duże krzesło poręczowe. Z boku sofa z poduszkami, której brzegi rzeźbione były w orły. Przy oknie wazonik z krzewem róż, które namiętnie lubiał i dlatego starano się, aby zawsze były kwitnące róże. Na ścianie za kanapą wisiały sztychy i obrazy a pomiędzy niemi krzyż Chrystusowy.

Letnią porą wstawał zawsze o godzinie 5tej rano, w zimie o 6tej. Po śniadaniu odbytem w towarzystwie Zeltnerów, ułatwiał w swym pokoju liczne korespondencje i zajmował się układaniem zadań i pytań dla swej uczennicy. Po obiedzie zwykł był grywać w bilar, a że go nie było w domu Zeltnerów, więc chodził do kasyna profesorów, później wyjeżdżał konno albo odwiedzał szczupłe grono swych przyjaciół.

Wkrótce przed śmiercią jego, dwa spotkania, niby powitanie z dalekiej ojczyzny, były dlań jakby ożywiające promienie słońca, ogrzewające ciche jego ustronie. W jednym klasztorze w Solurze żyła Polka, która wskutek politycznych wypadków opuściła ojczyznę i w tych murach znalazła schronienie. Skoro generał dowiedział się o tem, odwiedził ją, a nie dając się poznać, rozmawiał z nią po polsku. Nagle zakonnicę okraszył rumieniec, i jakby ze snu zbudzona, z największym uszanowaniem cofnęła się parę kroków i zawołała:

— Pan jesteś Kościuszko! — jeszcze dziewczyną będąc, nosiłam wizerunek pański w medaljonie na piersiach moich, i nie podobna znaleźć innego oblicza na ziemi, któreby cechowała taka wzniosłość i szlachetność, jak twoje, naczelniku!...

Drugim spotkaniem, były to odwiedziny księżny Lubomirskiej, która w przejeździe do Włoch wstąpiła w dom Zeltnerów. Jej uprzejmość, wesoły humor, uszczęśliwiły ostatnie dni jego życia, bo Kościuszko był już wtedy cierpiący i przewidywał zbliżający się koniec. Przy rozstaniu się, obiecała księżna odwiedzić go raz jeszcze na wiosnę. Kościuszko wstrząsnął głową i prosił ją o jaką pamiątkę. Księżna przysłała mu wkrótce z Lozanny pierścień z napisem: „L'amicie á la vertue“ (przyjaźnoci). Gdy ta pamiątka nadeszła, ręka, która ją nosić miała, była już skrzepla.

Dnia 15. października 1817 r. około wieczora opuszczały go nagle siły — wszyscy też mieli to przekonanie, że się koniec jego zbliża; w tem podniósł się nagle, wyciągnął rękę do Zeltnerów, pożegnał łagodnym uśmiechem swoją Emilję (która jako hrabina Morosini dotąd żyje w Medjolanie) i padł nieżywy na poduszki.

Rozbierając trupa, znaleziono na piersiach białą chusteczkę, którą od swej młodości nosił przy sobie. Była to jedyna jego miłości pamiątka, od Ludwiki Sosnowskiej, córki marszałka litewskiego, pamiątka, która od lat czterdziestu była dlań relikwią. Przed czterdziestu laty, gdy Kościuszko był rotmistrzem, prosił o rękę pięknej Ludwiki... lecz dumni rodzice odmówili mu, — w skutek odmowy nastąpiło wykradzenie, a gdy kochankowie pod zasłoną nocy bliżej byli swego celu, dosięgła ich pogoń marszałka Kościuszko bronił się ak lew, uległ jednak przemocy i padł raniony. Gdy przyszedł do zmysłów, znalazł małą, batystową chusteczkę Ludwiki, podniósł ją — to była ta chustka, którą po śmierci przy nim znaleziono. Ludwika wyszła później za mąż za ks. Lubomirskiego i ona to odwiedzała go przed śmiercią w Solurze.

Pogrzeb bohatera, zarówno jak życie jego, był skromny, bez żadnych wojskowych odznak ni honorów, trumna niesiona była przez sześciu biednych starców, a to wszystko na wyraźne żądanie nieboszczyka. Wielki nastąpił smutek po wszystkich krajach, bo serce tego polskiego bohatera biło dla całego świata — to też cały świat miał go w poszanowaniu, cały świat go oplakiwał.

(Gartenlaube.)

Lwowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych i wystawa dzieł sztuki.

I.

O tutejszem Towarzystwie Przyjaciół sztuk pięknych nie wiele się mogą dowiedzieć czytelnicy dzienników, bo dwa najobszerniejszych rozmiarów i najbardziej rozszerzone dzienniki upoczywie o niem milczą. Dziennik Lwowski, jakkolwiek także bardzo w publiczności rozszerzony, nie może z powodu szczuplejszych swoich rozmiarów rozpisywać się o wszystkich naszych stowarzyszeniach w sposób wyczerpujący.

Jedynymi organami dziennikarskimi, które się żywiej tem towarzystwem zajmują, są Dziennik Literacki i Tygodnik Lwowski, który to ostatni już z przeznaczenia swego powinien otwierać swoje kolumny sprawom sztuk pięknych.

Z tego też powodu rozpoczynamy niniejszem szereg artykułów poświęconych sprawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, a nade wszystko urządzonej przez takowe wystawie dzieł sztuki.

Towarzystwo zostało dopiero w marcu tego roku ostatecznie ukonstytuowane.

Przez rok było ono skazane na żywot prowizoryczny, jaki pod wpływem dawnego systemu rządowego był losem wszystkich instytucji nie pochodzących z ramienia rządowego.

Dzięki wszakże zmienionym stosunkom, odnieśliśmy tę jedną przynajmniej korzyść, że instytucja tak niewinne pod względem politycznym, a tak ważna dla podniesienia życia umysłowego w narodzie, jaką jest Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, przeciw przyjsć mogła do stanowczego ukonstytuowania się i to na zasadzie statutu odpowiedniego duchowi naszego wieku.

Nie istnieją, ile nam wiadomo, tego rodzaju towarzystwa w Niemczech i krajach należących do rzeszy austriackiej, których zarząd najwyższy spoczywałby w ręku całego grona akcjonariuszów, wykonujących prawa swoje na walnych zgromadzeniach.

Zbieranie się perjodyczne walnych zgromadzeń takiego stowarzyszenia pociągnie za sobą trudne do obliczenia skutki na korzyść rozwoju sztuk pięknych.

Mieliśmy tego przykład na ostatnim walnym zgromadzeniu.

Nie nadarzyła się nam jeszcze nigdzie sposobność, pomimo dosyć żywego u nas ruchu stowarzyszeń rozmaitych, usłyszenia tak umiejętnego i artystycznie pięknego wykładu o znaczeniu sztuki, jakim była mowa Leszka Borkowskiego, którą zagaił ostatnie walne zgromadzenie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

Podaly po krótko treść tej przemowy dzieniki, a najdokładniej Dziennik literacki; tu byłoby miejsce powtórzyć ją w całej osnowie, czego wszakże, ku wielkiemu ubolewaniu naszemu, nie jesteśmy w stanie uczynić, z powodu, że prezes Towarzystwa wygłosił tę piękną przemowę z pamięci, a nikt jej nie stenografował, ani też, choćby tylko w głównej jej osnowie, nie spisał (co zresztą było obowiązkiem sekretarza). Znaczenie sztuki w obec umiejętności, jej stosunek do dziejów oświaty nakreślić w kilku rzutach krasomownych, na to trzeba, to każdy przyzna, być niemniej znakomitym artystą, jak na przedstawienie w obrazie lub rzeźbie wielkich zagadnień dziejowych. Takim artystą okazując się zastępował Leszek godnie stanowisko prezesa w Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych, które też nie mogło stosowniej sobie postąpić, jak wybierając go na nowo swoim prezesem.

Jeden z dyrektorów ustępujących (Karol Widmann) wskazał w swojej przemowie na to szczególne stanowisko, jakie zajmuje Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w obec sztuki w ogólności, w obec sztuki polskiej w szczególności a nadewszystko w obec innych polskich towarzystw, założonych w celu szerzenia i rozwijania sztuk pięknych.

Jak pierwsze dwie kwestje nastęrczyły mowcy bardzo wdzięczny materiał do zakreszenia obszernego pola, jakie dzisiaj otwiera się w Polsce a szczególnie w naszym kraju stowarzyszącym się w celu pielęgnowania i rozwijania sztuki, tak trzecia z tych kwestyj jest wielce drażliwą z powodu nieszczęsnej kolizji, jaką wywołano sztucznie między Lwowem a Krakowem.

Sztuka polska zajęła obecnie już stanowisko europejskie i jesteśmy na drodze stania się potęgą w dziedzinie sztuki, podobnie jak już Polska okazała się potęgą polityczną w czasie powstania ostatniego, pomimo ucisku, pomimo klęsk bezprzykładnych w dziejach nowożytnych. Stanowisko to wkłada obowiązek na artystów polskich i na cały naród. Tamci odpowiedzą temu stanowisku przez pracę i kształcenie się w dziedzinie sztuki, przez rozwijanie jej czynne do coraz wyższego stopnia. Naród odpowiada powołaniu swemu względem sztuki przez popieranie jej rozwoju i pielęgnowanie tego dziecięcia swego umysłowego żywota. Jednym ze środków ku spełnieniu tego wspólnego obowiązku jest zawiązywanie stowarzyszeń, art gdziebyści i miłośnicy sztuki wzajemnem współdziałaniem przyczyniali się do rozwoju i pielęgnowania sztuki.

W dalszem polu leżą towarzystwa samychże artystów, akademji sztuk pięknych, szkoły artystyczne, galerje, muzea, narzeczcie stawianie pomników i przyozdobienie gmachów publicznych dziełami sztuki — wszystko rzeczy, które wymagają dwóch warunków: wysokiego stopnia oświaty i bardzo pomyślnego stanu majątkowego.

W dzisiejszych więc stosunkach pozostaje nam tylko jeden środek jako pierwszy stopień do większego rozwoju życia artystycznego, a tym są towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, pod czem rozumiemy połączenie artystów zarówno jak i miłośników sztuki.

Z tego powodu musi się ogromnie małodusznie, że nie powiem śmiesznie, wydawać to jakieś upieranie się bezzasadne przy tem, aby w kraju naszym istniało tylko jedno towarzystwo. Bardzo pochwalamy usiłowanie Krakowian, przyjaciół krakowskiego towarzy-

stwa i jego protektorów, jeżeli się starają wszelkimi siłami podnieść towarzystwo tamto do stanu jak największej świetności. Nie dziwimy się nawet Krakowianom, kierownikom i protektorom krakowskiego towarzystwa, jeżeli cokolwiek niechętnie poglądną na powstawanie obok swojego dziecięcia drugiego współzawodnika we Lwowie, który, jeżeli nie potrafi, to będzie się przynajmniej starał przewyższyć w sukcesach ich dzieci. Jest to bardzo naturalna zazdrość wszystkich matek na powodzenie swoich dzieci, wszystkich twórców jakiej instytucji na jej sławę i świetność, wszystkich kierowników publicznych zakładów na wziętość takowych, protektorów na znaczenie protegowanych obdarzonych swoją łaską. — Nie chcemy przypuszczać, aby tu odgrywał rolę ów partykularyzm mieszczański albo zawiść kramarska, które nie dopuszczają żadnej konkurencji, aby mieć monopol w ręku.

Dziwić nas wszakże musi krótkie widzenie osób, które nie są ani dyrektorami ani protektorami, ani nawet przyjaciółmi krakowskiego towarzystwa, że uważają w tem jakoweś jakoby niebezpieczeństwo, jakiś krok niepatryotyczny — że we Lwowie otwieramy dla sztuki drugie pole popisu, drugie ognisko życia.

Konkurencja, współzawodnictwo, jest siłą obrotową życia społecznego. Jestto prawidłem nie tylko w dziedzinie gospodarstwa społecznego, ale wszelkiego życia umysłowego. Dla czegoż w szkole już między dziećmi używają pedagogowie emulacji jako środka doskonalenia się w nauce. W sztuce, naukach, literaturze jestto regułą tak starą jak te rzeczy same, że emulacja jest najważniejszym środkiem rozwoju. Ten tylko może sobie nie życzyć emulacji, kto sam bardzo nisko stoi lub kto chce naród utrzymywać w ciemności, aby się zadawał niedojrzałymi owocami jego niedo-
łężnej pracy.

(D. c. n.)

Opuszczona.

O! gwiazdeczko — czemuś zbladła?
Czemu ściemniał promyk twój?
Czarna chmura blask twój skryła,
Na promykach twych osiadła...
Gwiazdka moja! gwiazdka miła!
Bez twych tęczy twarz mi zbladła.

Zaświeć jeszcze choć na chwilę,
Choć na chwilę, moja złota!
Niech raz jeszcze w świat szeroki
Jasnym okiem spojrzę mile —
Niech mię rzuci żal, tęsknota...
Niech zapomnę żem sierota.

O! podobno nim zaświecisz
Jasnym złotem twych promieni,
I nim ku mnie niżej zlecisz,
Nim wysuniesz się za lasem,
Już się grób mój zazieleni...
Tam z wieczora przyświeć czasem!

Er.

Odpowiedz.

Pytasz czemu smutna siedzę,
Kiedym hoża, młoda?
Na mem niebie chmury śledzę,
Bo zgasła pogoda.

Zgasła gwiazdka szczęścia mego,
Zagasz promień słońca!
Żem ja smutna, cóż dziwnego...
I będę do końca.

Tak do końca, do mogiły
Lica nie rozjaśnię —
Któż chce zwołać uśmiech miły
Gdy mu szczęście gaśnie?

Lwów

Er.

Na gruzach.

(Epizod z partyzantki
1863 r.)

napisał

Aleksander

(Dalszy ciąg.)

Pies, co mu leżał przy nogach i wiernie
Poprzysiągł z Panem głodną umrzeć śmiercią,
Widząc jak szlachcic wygląda mizernie,
Kręcił ogonem — a najeżył siercią,
Grzbiet, jak ten który nieprzyjaciół czeka...
Pies ten miał dużo natury człowieka...

Kiedy usłyszał szelest, więc na łapach
Usiadł, i naprzód nos wyciągnął długi,
Jak ten co kwiatów rozpoczyna zapach;
Taka przezorna czujność psiego sługi,
Szlachcica mego rozczuliła wielce,
Gotów uwierzyć był, że pies ma serce!

Tymczasem drogą wiodącą od lasu
Gromada ludzi szła — istne żebraki!
A między nimi gwar — dużo hałasu
Robili — Stefan myślał, że to jaki
Hufiec przyszedł mu wypowiedzieć wojnę,
I patrząc w oczy psa! — były spokojne —

Nie mógł zrozumieć jednak nic, dlaczego
Ludzie ci idą jak w bojowym szyku?
W owym pochodzie coś romantycznego
Było — a w każdym głośnym wykrzykniku
Zdawało mu się, że dusza odlata
Zhołdować sobie pod nogi pół świata!

Pieśń druga.

Było to w roku... zapomniałem daty —
Nie chronologję piszę zresztą ale,
Poemat. W roku tym sypali baty
Po cytadelach — szlachcicom Moskale.
Rok ten z nas każdy pamięta — niedawny
Rok ten w historii z szubienic jest sławny.

Kiedy to piszę dziwna mnie ochota
Bierze, prowadzić was żalobnym szlakiem
W taniec upiorów — i jak patryjota
Bawić was długim szerokim orszakiem;
Nowy jest sposób prowadzenia wojny
U Moskwy — wieszac naród niespokojny.

Data przekłeta! — z krwi, ognia i jęku,
Wypala naszym szlachcicom sumienie.
Ja gdy przez piekło szedłem mając w ręku
Pioruny na was, to wy jak kamienie
Staliście — trwożni gromów błyskawicy
Lub na kolanach kłęcząc — niewolnicy!

Roku szubienic; mój naród cię czeka,
We śnie dziecina trwoży się i zrywa...
Nieszczęścia fala znowu niedaleka,
W powietrzu jakiś jęk już się odzywa;
O tobie glucho polskie lasy szumią —
A głos ten wszyscy znają i rozumiają!

Jak Chrystus, kiedy kłęcząc na Golgocie,
Przeczuwał mękę krzyża i konanie;
Tak i mój naród kłęczy w krwawym pocie
Pod szubienicą — i na zmartwychwstanie
Gotów — a męczeństw nie znana mu trwoga
Bo tak spokojny jest patrząc w twarz Boga.

Moskwo! ty znowu zerwiesz się krwi chciwa,
Mord i pożogę nosząc nam w braterstwie,
Lecz sama stargasz nam kajdan ogniwa,
Gdy serce twoje nasycisz w morderstwie,
I kiedy polskiej krwi dla ciebie braknie —
Jak szkała serce twoje dziś jej łaknie!

Dziś odpoczywasz cicho, przyczajona
W tygrysa skoku, spokojem się bawisz!
Lecz choćbyś zębem dotarła do łona,
Serce nam nie wydrzesz, choć piersi rozkrwawisz,
Naszej się jeszcze raz ty krwi napijesz,
A potem sama wstaniesz i ożyjesz.

Bo i dla ciebie kiedyś, karta dziejów
Otwarta będzie, Rosjo! bez krwi jęku

Że odrodzona położysz się w grobie —
Z ukazów groźbą, z knutem, z hańbą z carem
Aż cię obudzi wielki głos Anioła,
Co zdejmie błoto od twojego czoła.

Dosyć — z pod pióra precz plazy syczące
I azjatyckie postacie Tatarów!
Jeszcze na polach te chaty dymiące
I krwawe łuny carskich łask — pożarów —
Biją mi w oczy, jeszcze przebaczenia
Nie ma dla Moskwy — jeszcze do widzenia!

A *revivre* — mój panie Czengiery!
W tym poemacie poet się rozczulił...
Dla Rosji i Ciebie będą bohaterzy
Wiem — a przy tobie Car by nawet zmałał...
Cara poczytaj ty — choć generała
Masz czyn. Liberal! — co Moskwa skazała?

Mniejsza co powie — któż się o to pyta,
Co tam miliony mówią niewolników,
Car ich ukazem i knutem przywita
I zaraz zgryja płatnych donoszczyków,
Spisek odkryje, liberalom knuty,
W imieniu Cara, wyliczą Bebuty.

I będzie cicho — gazety nie piszą
Ani pół słowa, ile spadło knutów...
A resztę, śledztwa wojenne wycisną,
Za co krest weźmie generał Bebutów,
By car przy czaju mógł drzemać spokojnie
O szubienicach nie słysząc i wojnie.

Raz, gdy tak cicho w Petersburgu spali,
Wpadł kurjer cały obrzucony błotem
Z wieścią, że w Polsce mordują Moskali!
Że choć Gorczaków płacił szpiegów złotem
I w cytadelach nie szczędzono batów —
Nie mógł wyśledzić spisku demokratów.

Demokrat — wielkie liberalne słowo!
Przetłómaczone na język Moskali,
Znaczy to samo co nałożyć głowę.
Do demokratów w Warszawie strzelali
Z rozkazu księcia — a w pośród kul gradu
Margrabia wieszac kazał dla przykładu.

Wielki to człowiek ten Margrabia!.. ale
Był zmoskalony jak mówią do kości
I krest mu nawet przysłali Moskale!
A car go zdusić chciał z wielkiej miłości
I tysiąc rubli płacił mu miesięcznie,
Za to że wieszal Polaków tak zręcznie!

Margrabia rządził Polską, w owych czasach
Langiewicz wielki szlachciców dyktator
Zbrojne obozy zakładał po lasach
I chciał Moskali bić — lecz imperator
Wiedział że nawet nie prowadząc wojny
Ale wieszając może być spokojny...

Dlaczego? gdybym chciał wam odpowiedzieć
Musiałbym może tych jasnych rozgniewać

I ruble carskie przez mózg im precedzić...
Wolę wam raczej pieśń do końca śpiewać.
Miłością serca wam rozgrzać jak czarem,
Lasów jodlowych ukolysać gwarem...

Przypomnieć chciejcie bowiem czytelnicy,
Że Stefan główny bohater powieści
Był w ambarasie, kiedy komornicy
Spadli nań — niby piorun strasznej wieści,
Że zrujnowany na majątku, siedział
Pod lasem, dalej co robić — nie wiedział.

(D. c. n.)



— Patrz Tadzio oto pp. B.
— A wiesz co, że szykowne a jak podobne do siebie to rzadko
— też sama cera, jednakowe włosy!
— Co pod tym względem to masz słuszną, bo pierwsza
z jednego pudełka a drugie od jednego fryzjera pochodzą.

Będziesz narodem, bez carów
I bez żelaznych kajdan na twym ręku;
Car twój nas jeszcze raz przed przęgierz stawi
I we krwi naszej, Rosjo, ciebie zbawi.

Lecz nim ten wielki dzień dziejowy błysnie,
Będą ci w oczy pluć — boś niewolnica!
Twój car ci silniej obrozę zaciśnie,
Aż wam zwierzęcy ból wykrzywi lica —
I jeszcze głębiej w błoto was zaszarga —
Wstaniesz — wnętrzości twoje ból potarga.

Wstaniesz — a ręki nikt nie poda tobie
I nikt pod twoim nie stanie sztandarem,

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Zamek krakowskich biskupów w Kielcach (z ryciną). — Więzienie w Tobolsku. Urywek z pamietników zbiega. — Renegat. Powieść tegoczesna, przez A. Nałęcz. — Pokój Tadeusza Kościuski w Solurze. — Wiersz. — Lwowskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych i wystawa dzieł sztuki. K. Widmana. — Na gruzach. Epizod z partyzantki 1863 r., przez Aleksandra i — Karykatura.